

Fragment utworu w przekładzie

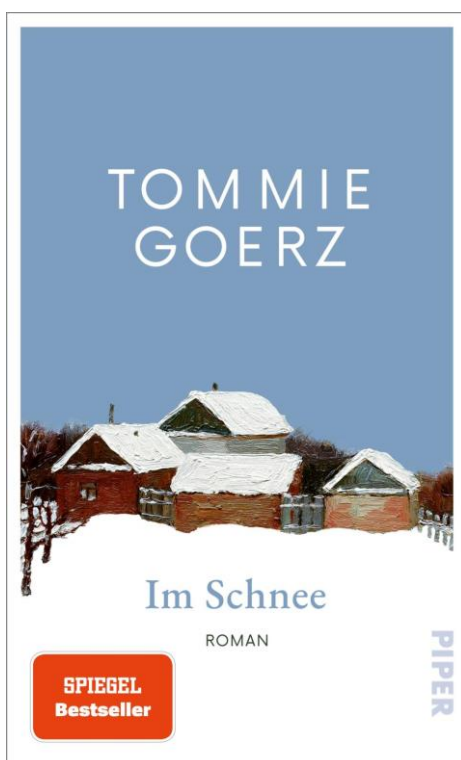
Tommie Goerz
Im Schnee

Piper Verlag, München 2025
ISBN 978-3-492-07348-6

Str. 7-24

Tommie Goerz
W śniegu

Przekład: Artur Kożuch



Pod jabłoniami leżał śnieg. Max stał przy oknie i patrzył na ogród. Powoli zbliżało się południe. Rozpalił ogień pod kuchnią, ugotował sobie kawę i nie było nic więcej do zrobienia. Padał śnieg, a on nie musiał wychodzić na dwór. Miał wszystko i nikt na niego nie czekał. To mógł być taki piękny dzień.

Stare jabłonie. Jeszcze jesienią Schorsch przychodził tam po jego jabłka, już wtedy ledwo się schylał. Uwielbiał martini, bo jest takie krągłe i soczyste, i przechowuje się do Bożego Narodzenia. I rheinischer krummstiel, bo lubił też jeść jabłka w zimie. „Ten prawdziwie smakuje dopiero po Bożym Narodzeniu – powiedział i uśmiechnął się do siebie. – I wytrzymuje do maja, a potem tylko patrzeć, jak znów pojawi się papierówka”. W ogóle Schorsch dużo się uśmiechał, kiedy był u Maxa, często tylko pod nosem, jakby do swoich myśli. Lecz nigdy nie mówił jakich.

Zawsze zabierał po dwa kosze każdego, co najmniej od pięćdziesięciu lat, martini i krummstiela, czasem nawet po trzy. „Nie więcej, o nie – śmiał się. – Przecież muszę je wszystkie zjeść”.

A teraz nie żyje.

Max stał przy oknie i jeszcze o niczym nie wiedział. Przyglądał się padającemu śniegowi. Długo. Co i rusz, od samego rana. Kiedy spoglądał w górę, w bezkresną szarość nieba, widział ten śnieg jako czarne kropki i jak te kropki płyną ku niemu nieprzerwanym strumieniem. Aż wciągał go ten nurt, który wyczuwał zawsze, gdy się zapatrzył. Miał tak od dziecka. Jakby to nie płatki z wolna opadały na niego, tylko on się ku nim unosił. Śnieg zdążył przykryć wszystko. Gałęzie, trawę, drogę, nałożył nawet kapelusiki na wąskie czubki sztachet w płocie. Nie spieszył się. Tak więc Max stał przy oknie, wyglądał przez nie i nasłuchiwał. Nic nie czyniło świata tak sielskim jak padający śnieg. Tak spokojnym, tak łagodnym.

W pewnej chwili w ciszy rozległ się głos żałobnego dzwonka, to delikatne bim-bim-bim z kościelnej sygnaturki. Niczym z bardzo, bardzo daleka. Z początku Max w ogóle go nie słyszał, ale gdy w końcu ten dźwięk do niego dotarł, to było tak, jakby przynależał do wszystkiego. Do padającego śniegu, do czapeczek na płocie, do tej tak spokojnej bieli. Jakby musiało tak być.

Na jednej z gałęzi siedział kos i się otrząsał, wygładził parę piórek. Wreszcie cały się nastroszył i głęboko schował łeppek. Siedział tam, puchata kulka, i przyglądał się śniegowi, tak samo jak on. Był brązowy – samiczka. Dawniej Max zawsze przynosił od Angermanna płat wołowego łoju, surowy i w jednym kawałku, i wywieszał go, ptaki to lubiły. Zlatywały się ich całe chmary, obdziobywały poleć, a on przypatrywał im się godzinami. Ale odkąd nie mieli już rzeźnika, nie mógł przynosić łoju i ptaki same musiały zadbać o to, by znaleźć coś do jedzenia. Czyżby kos czekał na łój? Max nie mógł mu pomóc, stary Angermann zmarł cztery lata temu, a jego syn Hubert nie garnął się do uboju. Nic, tylko szlachtowanie i robienie kielbas, i wszędzie pełno krwi, to nie dla niego. A i nie lubił zapachu, który wsiąkał człowiekowi w ubranie. Od tamtej pory masarnia była zamknięta, a razem z nią gospoda. Wtedy dla Fredla Angermanna też bił żałobny dzwonek. Bił tutaj dla każdego, kto umarł.

Z początku Max nie wiedział, dla kogo dzwoniła dziś Gunda. Bo to Gunda Mehlmeisel dzwoniła na czyjąś śmierć. Żeby wszyscy we wsi wiedzieli, że znowu kogoś zabrakło. Robiła to od grubo ponad dwudziestu lat – od dnia, w którym umarła jej matka. Ta bowiem robiła to wcześniej, bodajże od początku świata.

Tak naprawdę Gunda wcale nie nazywała się Mehlmeisel, tylko Grantner, jako że wyszła za Ludwiga Grantnera, którego los rzucił do Austrii, i razem z nim musiała przejąć gospodarstwo Mehlmeiselow, bo jej starszy brat nie wrócił z wojny. Przy czym wcale nie chciała tej gospodarki. W każdym razie nikt nie mówił na nią Grantner, mówiło się Mehlmeisel.

Max zrobił krok w bok. W miejscu, gdzie stał, szyba zaparowała od jego oddechu. Teraz znowu wyglądał przez okno i miał przestrzeń dla myśli.

Na niektórych nadal wołano nazwami ich zagród, nieważne, jak nazywali się naprawdę. Jak się było ze wsi, wiedziało się, o kogo chodzi, a jak nie, to i tak niczyj interes. Tak było z dziada pradziada. Ale to się zmieniło. Nazwy zagród słyszało się jeszcze od starych, młodzi nie używali ich już od dawna. Nowi mieszkańcy zaś często nawet ich nie znali. Budowali się tam, na nowym osiedlu, albo kupowali jedną ze starych zagród, które zostały porzucone. Choć chłopci niechętnie sprzedawali ojcowiznę.

Z chęcią dałby coś kosowi, ale nic nie miał. U rzeźników w mieście też się już nie dostanie łoju, powiedział Manfred, który przywoził mu to, czego tylko potrzebował. A Lilo już całe lata temu zamknęła swój sklepik, w którym można było kupić przeróżności. Od łapki na myszy po papier toaletowy i wszystko do jedzenia i picia. Lilo była za stara, prawie nie miała klientów, a sprzedaż i tak dawno przestała jej się opłacać. Zresztą w ostatnich latach ledwo chodziła, od ciągłego stania za ladą i dźwigania towaru wysiadły jej biodra. Młodzi zaś i tak po wszystko jeździli samochodem do miasta.

Przez całe przedpołudnie Max co raz to znowu stawał przy oknie i wyglądał przez nie. Nie musiał przecież nic robić. Patrzył na śnieg i na jabłonie. Wiosną znowu zakwitną, a jesienią znowu wydadzą owoce, jak co roku. Jak od tylu już lat. Dalej nie wiedział, kto umarł.

Kos siedział na swojej gałęzi, a za oknem panował wielki spokój. Dołożył jeszcze jedno polano i podobało mu się, że jest tak ciepło. A niech sobie pada śnieg, drzew miał pod dostatkiem. W którejś chwili przyniósł ze spiżarki garnek z resztką zupy i postawił go na blasze. Rosół wołowy z kluskami, z wczoraj, rozgrzeje go od środka. Wystarczy, jak wbije jajko i zagryzie pajdą chleba. Miał już tak niewiele potrzeb.

Dowiedział się od Lisl, zawołała do niego, z dworu, z drogi. A do tego się przeżegnała. Max jakoś to już przeczuwał, ale nie dopuszczał do siebie tej myśli. Gdy usłyszał dzwonek, w pierwszej chwili pomyślał, że może umarła Lilo, już od dłuższego czasu było z nią źle. Teraz jednak okazało się, że to Schorsch.

I nagle świat nie był już ten sam.

Schorsch! Przecież jeszcze nie zjadł wszystkich jego jabłek...

Jabłonie za oknem stały w śniegu, jak przedtem. Nic się nie zmieniło. Lecz nagle zrobiło się między nimi pusto. I za nimi... i w kuchni... i wszędzie...

Max przejechał swoją wielką ręką po twarzy i chwycił się za gardło. Przyniósł gorący garnek na stół i jadł łyżką zupę. Co teraz będzie? Odrzucił od siebie tę myśl. Byle się nad tym nie zastanawiać. Rosół doda mu sił.

Potem pokroił jabłko na kawałki, żuł je powoli, cząstka za cząstką, patrzył na swoje pomarszczone ręce i myślał o Schorschu Wenzlu, bo jabłko to było martini. Może da mu jedno do grobu, a na dokładkę krummstiela.

Nikt nigdy nie wołał Schorsch imieniem Georg, wpisali mu je tylko do paszportu: „Georg Wenzel”. Ale co ci w urzędzie wiedzą o ludziach.

Schorsch lubił do niego przychodzić, a on lubił, gdy przychodził Schorsch. Ten rosły Schorsch, szeroki w ramionach, o przyjaznych oczach i ciepłym spojrzeniu pod bujnymi brwiami. Który od kilku lat chodził taki przygięty do ziemi i tak ociężały. Krzyż. Który był raczej spokojny, nie taki głośny jak inni, i który tak bardzo lubił jeść jego jabłka. I pieczoną kaczkę, jeśli się trafiła na jakichś urodzinach czy weselu, na chrzcinach czy komunii. Gdy siedł w gości, do Stanglwirta czy Angermanna. Ale tych wszystkich okazji ubywało. Coraz więcej odbywało się tylko styp po pogrzebach. Bo ze śmiercią rzecz się miała jak z włosami. Włosy rosły i trzeba je było ścinać. Tak samo człowiek dorastał i w końcu musiał umrzeć. Nie dało się tego pominąć.

Ileż to razy pracowali razem. Max i Schorsch. Chodzili do lasu przygotowywać drewno albo naprawiali stary ciągnik, rąbali i cięli metrowe kłody, ostrzyli brzeszczot piły albo wymieniali dachówki. Ileż to razy siedzieli na ławeczce w obejściu i nie robili nic. Może popijali piwo z butelki, głaskali kota, przyglądali się wróblom, które kąpały się w piasku, albo tylko wpatrywali się w stare drewno stodoły. Albo zimą, tu u Maxa, na leżance, gdzie czuło się przyjemne ciepło. Czasem nawet leżeli, jeden obok drugiego, i ucinali sobie drzemkę, leżanka była wszak dostatecznie szeroka. I tak to się toczyło przez dziesiątki lat. Było między nimi coś. Nawet gdy milczeli. Albo siedzieli nad rzeczką Aus i przysłuchiwali się jej cichemu chlupotaniu, tam, gdzie płynęła po kamieniach. Temu tak bogatemu dźwiękowi, którego nie słyszał nikt poza dziećmi. Albo gdy czasem odkładali piłę, nie po to, by zrobić przerwę w pracy, tylko żeby wsłuchiwać się w las. Były to chwile bez mała święte, tylko dla nich obu.

A teraz Schorscha już nie było.

Max wziął jedną z gazet, które zawsze przywoził mu Mane, i położył na stole. Przewracał strony i oglądał zdjęcia, ale bez żadnego zainteresowania. Ten szeroki świat był tak bardzo daleko, nie mieli ze sobą nic do czynienia. Jeden wielki rozgardiasz, przestał go rozumieć. Wszędzie były wojny, wszędzie ludzie uciekali – tutaj tylko padał śnieg.

Za dwa, trzy dni o Schorschu będzie stało w gazecie. Max przeglądał klepsydry, nie znał jednak nikogo. Sami miastowi. Często przy nazwiskach można było przeczytać: „nagle i niespodziewanie” albo „po długiej chorobie”. Ale ani słowa o Austhal. Nic dziwnego. I dobrze, dzięki Bogu. Dołożył kolejną szczapę i położył się na leżance, nadszedł czas na południową drzemkę. Drewno trzaskało w piecu i ten odgłos z wolna uniósł go gdzieś indziej.

Max mieszkał pod numerem dwadzieścia siedem, w starej części wsi domy miały tylko numery, ulice nie miały nazw albo się ich nie używało – tak było i tak się robiło tylko na nowym osiedlu. Na Maxowy dom mówiło się „Tor trzeci”. Bo jako jedyny stał tak blisko torów. Tor trzeci nie istniał od dawna, lecz pozostała nazwa. Kiedyś była to bocznica, do załadunku drewna. Gdy drewno przestało być potrzebne do wypalania porcelany w Selb, Marktrechwitz, Miśni, Arzbergu i gdzie tam jeszcze, w końcu rozebrali ten tor, żelazo ze szyn wykorzystali pewnie do czegoś innego. Wtedy wszędzie skończyli z porcelaną i wielu się wyprowadziło, także z Austhal. Bo nie było już pracy.

Żeby dotrzeć do fabryk, ludzie odjeżdżali z toru drugiego, pociągiem o piątej lub szóstej, w tamtym czasie chodził prawie co godzinę. Wracali po południu lub wieczorem, nieraz dopiero w nocy. Kursował do jedenastej. Teraz pociąg z Arzbergu przyjeżdżał już tylko trzy razy: koło

siódmej, koło pierwszej i koło siódmej. Ten z Wunsiedel też, tyle że pół godziny wcześniej. Zresztą stawał wyłącznie na żądanie, gdy się nacisnęło przycisk albo ktoś czekał na peronie, w przeciwnym razie po prostu przejeżdżał. Zdarzało się, że Max przez tydzień nie widział, żeby któryś się zatrzymał. Tymczasem został tylko jeden tor, drugi też rozebrali. Wprawdzie mały budynek stacji ciągle jeszcze stał, ale cały był pomalowany sprejem i farbą, szyby miał od dawna powybijane, w szczelinach świszczął wiatr, a dookoła walały się skorupy i śmieci. Nikogo nie interesował. Od lat nikt tam nie sprzątał ani niczego nie czyścił. Teraz pociąg stawał sto metrów dalej, zaraz za przejazdem kolejowym, gdzie zbudowali nowy peron. Zresztą też już dawno temu. Pod wąską wiatą stała ławka, obok niej automat biletowy, zepsuty od wielu tygodni. Działał za to elektroniczny wyświetlacz. Na nim widniał napis złożony z żółtych punktów: „Kolejne odjazdy: kierunek Arzberg – 19:32, kierunek Wunsiedel – 19:58”, który się ciągnął bez końca.

Tam też było całkiem białe. Nikt nie uprzątał peronu.

Z wolna znów nadchodziła szarówka, w połowie stycznia już po południu robi się noc. Upłynie jeszcze parę miesięcy, zanim wyraźnie dłużej będzie jasno. Gdzie się podział ten dzień?

Max zaparzył sobie herbatę. Pokrzywa, mięta i rozmaite kolorowe zioła: zebrane latem, wysuszone na powietrzu, schludnie rozłożone na desce, a potem zmieszane w słoiku. Schorsch też lubił pić tę herbatę, ale teraz prawdopodobnie leżał u siebie w domu, na łóżku, z dłońmi splecionymi na brzuchu i lekko rozchylonymi ustami, może nawet trzymał w ręku krzyżyk. Albo już go zabrali. Mało kto chciał jeszcze trzymać w domu nieboszczyka, choćby tylko przez pierwszą noc.

Przy ostatnich trzech zmarłych czuwanie się nie odbyło. Rodziny kazały ich zabrać jeszcze tego samego dnia. Leżeli później w chłodni zakładu pogrzebowego i do kaplicy cmentarnej trafili na pochówek, ale nie wystawiono ich w trumnach. Wieka były już przyśrubowane. Tyle że w taki sposób nie da się porządnie pożegnać. Na czuwaniu pożegnanie wypadało dużo lepiej. Miało się całą noc na pogawędki i płkanie, i coś do picia: kieliszek gorzałki albo dwa, takie czy inne piwo. To, co zawsze pomagało. Poza tym siedziało się w kilka osób, a nie w samotności.

Czy zabrali Schorsch? Nie słyszał samochodu, tutaj, przy przejeździe kolejowym. Ale jeśli przyjechali przez Fuchsberg albo stamtąd, przez Weiselswald, to i tak nic by nie usłyszał, a już zwłaszcza przy takim śniegu. Może będzie dziś czuwanie? Max by się z tego ucieszył, bo wtedy Schorsch nie odszedłby tak nijak. Nie dalej jak przedwczoraj byli na piwie u Stanglwirta, a teraz już go nie ma, na zawsze? Nieładne takie rozstanie. Skoro tyle razem robili.

Max stał przy oknie i ostrożnie siorbał herbatę. Szare niebo wisiało tak nisko, że połknęło już świerki na tamtym grzbiecie zbocza. W śnieżnej bieli Lehnertowej Łąki, która wznosiła się łagodnie za torami i szosą, stały dwie sarny, czarne sylwetki na skraju lasu. Rozejrzały się – i wskoczyły z powrotem między drzewa.

Czemu położona na stoku łąka nazywała się Lehnertową Łąką? Max nie umiał powiedzieć. Właściwie to była nieprawda. Bo należała do niego, powinna więc się nazywać Malterową Łąką, jego ojciec kupił kiedyś tę ziemię. Ale nie od Lehnertów, akurat to wiedział. Po drodze, a upłynął szmat czasu, pole uprawne i łąka znajdowały się w jeszcze innych rękach. Czyich? Zastanawiał się. Spośród starych, którzy mogli to wiedzieć, nie żył już żaden. W sumie to i tak wszystko jedno. Im dalej cofało się w czasie, tym więcej odnajdowało się związków między gospodarstwami. Tego ożeniono z tą, a tę wydano za owego, ten wypędził precz tych albo miał zatarg z tamtymi, ta urodziła dziecko tego, ten sprzedał ziemię komuś tam i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze. Lepiej było się w to nie mieszać i zostawić wszystko po staremu. W każdym razie las, który się ciągnął od górnego krańca łąki na drugą stronę kopy, nazywał się Malterowym Borem. Był jego lasem i w nim Max rąbał drewno na zimę albo gdy chciał coś wybudować. To tam często bywał z Schorschem, bo i drewno Schorsch dostawał od niego.

Zeszłego lata Max zrobił ławkę z jednej kłody i razem z Schorschem ustawili ją tam, na skraju lasu. Bo przyjemnie się tam odpoczywało, a i widok miało się ładny, na Austhal i hen, daleko poza wieś, aż po zalesione pagórki i góry, które im dalej, tym bardziej zdawały się błękitnieć i blednąć, i w dół do starego tartaku, gdzie już lata całe nie piłowano drewna na deski. Od dnia, w którym stary Kuno Birker upadł jak stał. I z góry widać było też wąską Aus, jak połyskuje, wijąc się wśród łąk. Przede wszystkim na wiosnę, zanim wierzby zdążyły puścić listki, a trawy i pokrzywy zbyt bujnie porosnąć jej brzegi, bo w tym miejscu głęboko wyżłobiła swoje łożysko.

Max wciąż stał przy oknie. W jakiś sposób wszędzie było pełno Schorscha. Niskie niebo wskazywało, że spadnie więcej śniegu, nieprzenikniona szarość ciemniała w dali, przechodząc w czerń, zapowiadała zbliżającą się noc. Trzy żółte lampy na peronie zapaliły się i będą świecić do bardzo późna. Na peronie stał jakiś mężczyzna. Co on tam robił? Do następnego pociągu zostało kilka godzin. Czyżby zamierzał tak długo czekać? Max odstawił garnuszek na brzeg pieca. Później dopije herbatę, tutaj, na płycie dalej będzie ciepła. Dlatego podsycił ogień kolejnym polanem. Musiał jeszcze iść do Schorscha, to znaczy, do Maicherd, jego żony, i spytać o czuwanie przy zmarłym. Czy w ogóle będzie, a jeśli tak, to kiedy, jak i co. Okutał się więc

grubą, wystrzępioną kurtką z wełny, założył czapkę z pomponem i z laską w ręce poczłapał na śnieg. Schował głowę głęboko między ramionami. Wiał przecież dość zimny wiatr.

Kobiety, które zjawiały się od razu, kiedy ktoś umarł, w miarę przyszykowały już Schorscha. Co prawda bez odświętnego garnituru, bo włożą mu go ludzie w zakładzie pogrzebowym, ale leżał, starannie uczesany, w izbie na kanapie, z lewej i z prawej strony była świeca. Maicherd znowu została sama. Pachniało prawie jak w kościele, a w złożone dłonie wplotły mu różaniec. Max dobrze wiedział, że to by się Schorschowi nie spodobało. Ale z kobietami nie szło o tych sprawach rozmawiać. Tak się robi, tak po prostu wypada i tyle. Kobiety bardziej trzymały się Kościoła, od zawsze.

– To się stało przed południem i poszło migiem – oznajmiła Maicherd. – Schorsch nalał sobie gorzałki, bo nie czuł się dobrze, było z nim naprawę bardzo źle. Potem powiedział: „Chyba muszę już iść”, padł na kanapę i przestał dyszeć. I po nim. Ułożył się tak, jakby nie chciał nam robić kłopotu.

„Cały Schorsch”, pomyślał Max i zrobiło mu się lżej na sercu, kiedy to usłyszał.

– Czyli wiedział, że odchodzi – stwierdził.

Maicherd potaknęła głową.

– Ale nie powiedział „żegnaj”, tylko że musi już iść. A to może znaczyć wszystko.

Z kieszeni fartucha wyjęła wymiętą chustkę, otarła nos i więcej się nie odezwała.

Max też kazał sobie nalać gorzałki, zamierzał wrócić wieczorem na czuwanie, kiedy zbiorą się mężczyźni.

– Gdzieś tak o siódmej albo ósmej.

Zgodnie ze zwyczajem mężczyźni mieli zostać do północy, potem miały czuwać kobiety, aż do świtu. Nad ranem dość już będzie tego czuwania, może jeszcze zajrzy proboszcz, choć Max nie wierzył, że Maicherd po niego posłała, a jeszcze później przyjadą po Schorscha i ładnie go przyszykują. Umyją, ogolą, obetną mu paznokcie, może przystrzygą włosy w nosie i koło uszu oraz brwi, uczeszą go i ubiorą w garnitur. Który już od dawna nie leżał na nim dobrze. Przywiozą go z powrotem na pogrzeb, w trumnie.

– Może zostanę do rana – oznajmił Maicherd. – To znaczy, będę czuwał też z kobietami.

Kobiety były do tego przyzwyczajone i nie miały nic przeciwko. Nigdy nie miały. On i Schorsch zawsze dużo z nimi robili. Bo nie były takie hałaśliwe i prostackie. I śmiały się inaczej, nie tak bardzo z siebie nawzajem... przynajmniej zwykle. Z kobietami po prostu często było serdeczniej.

Na przykład zawsze organizowali robienie mioteł, co kobiety bardzo lubiły. One zbierały suche brzoźowe gałązki i znosiły je do warsztatu Maxa, oni zaś układali je tam w pęczki, ściśle obwiązywali drutem, obcinali do równa ich końce i wystające czubki, i wbijali w środek drewniany kij. Tymi drapakami, na zagrodę przypadały po trzy albo cztery, zamiatało się przez cały rok. Sień, drogę, obejście, a jak któryś się sfatygował, to i oborę. A to, co zostało na koniec, szło na rozpałkę. Potem potrzebne były nowe miotły.

Z kobietami odlewali też świece, czarne, co podobno chronią od burzy. Kiedy indziej ubijali z nimi masło, po tym jak Gunda Hessen znalazła na strychu starą maselnicę. Jedna tylko Lilo pamiętała, że w zagrodzie Hessenów robiło się dawniej masło. Zawsze dostawała parę funtów na sprzedaż, w tym czasie prowadziła jeszcze swój sklep. Dopóki nie wydali zakazu i masło musiało pochodzić z mleczarni. Najpierw sprzedawane w dużych blokach, po pięć kilo lub cięższych, tak samo twaróg, z czego odcinało się w sam raz tyle, ile ktoś chciał kupić, a potem już tylko w kostkach po dwanaście i pół oraz dwadzieścia pięć deka, zawiniętych w srebrny papier.

Max smutno skinął głową Maicherd, naciągnął czapkę głęboko na czoło i poczłapał z powrotem do domu. Musiał iść ostrożnie, pod śniegiem mogło być ślisko. Może powinien zanieść do kogoś buty, żeby wymienić w nich podeszwy, miałby grubszy profil. Ale do kogo? Antona Spercka pochowali dwa lata temu, ten potrafił jeszcze coś takiego. Nie lubił tej roboty, ale jak się u niego zostawiło obuwie, to kiedyś było gotowe. Anton miał odpowiednie narzędzia po ojcu, a jako dziecko często musiał mu pomagać. Tak się do tego przyuczył. Zresztą ojciec nie był szewcem, tylko rymarzem, ale jak już ktoś robił coś ze skórą, używał szydła, igły i nici, to i buty mogło się do niego zanieść. Cała wieś tak robiła. A teraz? Został tylko Erwin, a ten to nic nie umiał z tych rzeczy. Max musiał więc uważać na śniegu i ostrożnie stawiać kroki, żeby się nie poślizgnąć. Ale po to miał swoją laskę.

Znowu zaczęło padać. Niezbyt mocno, lecz troszeczkę śniegu zawiało mu w twarz. Przyglądał się, jak płatki tańczą w żółtym świetle przydrożnych latarni, z wolna opadają na ziemię i znikają w leżącej pod nimi bieli.